

RUCH

Copyright by **Maciej Rogoziński**

Niniejszym Autor zezwala na powielanie i udostępnianie utworu. Zastrzega się odsprzedaży.

projekt okładki: **Zuzanna Beker**

korekta: **Agnieszka Rogozińska**

Wydanie **II**

ISBN **978-83-943592-7-0**

MR

Oława 2021

Ze wszystkich przedmiotów znajdujących się w pokoju, przestraszony chłopak wybrał zegar. Nie miał on, co prawda, zbyt wielu możliwości, ponieważ oprócz tego znajdowały się tam stół, krzesło oraz wielkie lustro będące w rzeczywistości oknem. Rozmyślać jednak mógł o czymkolwiek, a spośród nieskończonych możliwości zapewniających pracę umysłowi wybrał czas, wybrał przemijające bezpowrotnie chwile, wielki, niewidzialny bat, pod którym korzą się wszyscy, niezależnie od miejsca i sytuacji. Chłopak kontemlował istotę trwania i istnienia, stwierdzając, że ludzkie postrzeganie czasu jako wielkiej strzałki biegnącej w jednym kierunku jest wynikiem ułomności i małości, a wszelkie wzory czy koncepcje nie są w stanie oddać złożoności tego arcyskomplikowanego zjawiska.

Potem zaś zadał sobie pytanie: po co w pokoju przesłuchań zegar?

Nagle otwarły się drzwi, a przez nie wszedł gruby jegomość stanowiący książkowy wręcz przykład ślapstickowego policjanta. Zasiadł on naprzeciwko chłopaka, uprzednio rzucając na stół teczkę wypełnioną papierami, i zaskakująco uprzejmym głosem rzekł:

– Bardzo mi przykro, że musi pan zeznawać w takich warunkach. Mam nadzieję, że nie jest to zbyt duży problem?

– Nie... Raczej nie...

– Cholerne restrukturyzacje zniszczyć mogą najlepiej działający system, jeśli wie pan o czym mówię. A właśnie, długo pan czekał? Mam nadzieję, że nie zabraliśmy panu zbyt dużo czasu?

– Cóż, jeśli o czasie mowa, to obawiam się, że wszyscy mamy go mało.

– Ha, racja! W takim razie przejdźmy do rzeczy. Nazywam się Johan Hodorowski i jestem tu komisarzem. Postanowiłem osobiście spisać pana zeznania, bo inaczej trwałoby to wieczność. Oczywiście zapoznałem się z zeznaniami wstępnymi, ale proszę się nie irytować jeśli będzie musiał się pan powtarzać, dobrze?

– Dobrze.

– Więc od początku. Nazywa się pan Artur Yennenberg, tak?

– Tak.

– I chce pan zgłosić porwanie?

– No, niezupełnie. Znaczący też, ale nie o porwanie tu chodzi.

– A zatem słucham – komisarz wyciągnął z teczki kartkę papieru.

– To stało się dziś rano, kiedy wychodziłem do pracy.

– Mhm – przerwał Hodorowski. – A gdzie pan pracuje?

– Jestem redaktorem w gazecie Votum.

– O! Jest pan zatem współodpowiedzialny za przyłączenie się mojej żony do klubu dyskusyjnego. W jakimś numerze był o tym spory artykuł, a ona jest waszą oddaną czytelniczką.

– Tak... Tak, pamiętam – chłopak nieco się zmieszał. Nerwowo spojrzął na nieubłagane tykający zegar.

– Przepraszam za to wtrącenie. Więc był pan w drodze do pracy?

– Owszem. Z domu do redakcji mam jakieś dwadzieścia minut piechotą, a że tego dnia musiałem być tam wcześniej, gdy wychodziłem panował jeszcze mrok. Nie przeszedłem dwudziestu metrów, gdy poczułem silne uderzenie w tył głowy.

– Zaraz, to było dziś rano? Był pan w szpitalu?

– Wstyd przyznać, ale jeszcze nie. Uderzenie okazało się niezbyt poważne.

– Wystarczająco jednak silne, aby stracił pan przytomność?

– Tak... Ale proszę mi wierzyć, czuję się dobrze. A gdy tylko skończę zeznawać, natychmiast udam się na pogotowie.

Johan skrzywił się w grymasie politowania. Może młode organizmy inaczej przechodzą takie przygody, pomyślał, gdybym ja oberwał w potylicę, chyba bym się już nie podniósł.

– Dobrze. Co się zatem stało, gdy odzyskał pan przytomność?

– Z początku rejestrowałem otoczenie jedynie słuchem, po jakiejś chwili doszedł obraz. W pierwszym momencie myślałem, że jestem przywiązany pod sufitem, ale okazało się, że siedziałem na krześle, i faktycznie, byłem skrupowany. Znajdowałem się w jakimś zagraconym pokoju, lecz nie pamiętam żadnych istotnych szczegółów, no, za wyjątkiem starego telewizora ustawionego bardzo blisko. Wtedy też usłyszałem głos. Powiedział, że za chwilę pokaże mi film, który mam dobrze zapamiętać.

– A czy widział pan jakąś sylwetkę?

– Niestety nie. Ledwo co sprzed moich oczu ustąpiła mgła otępienia, gdy ten ktoś włączył telewizor, co nieomal mnie oślepiło. Zdjęty jednak strachem postanowiłem skupić się na puszczonej filmie.

– Rozumiem. I co było dalej?

– Gdy się skończył z początku myślałem, że to może jakiś koszmarny sen. Potem jednak mężczyzna, ponieważ głos był ewidentnie męski, powiedział, że za chwilę wręczy mi kasetę z tym filmem, którą mam zanieść prosto do redakcji. Zapytał następnie czy rozumiem swoje zadanie. Nie odpowiedziałem, bo głos kompletnie ugrzązł mi w gardle, a on uderzył mnie jakimś twardym przedmiotem.

– Jak mniemam, ten ktoś znajdował się z tyłu?

– Tak. Oberwałem w ucho, a powstały pisk doprowadził mnie do łez. Wtedy też mężczyzna zapytał raz jeszcze, czy wiem co mam zrobić, a ja, otrzeźwiający adrenaliną, odparłem, że wiem. Następnie usłyszałem jedynie śmiech i zobaczyłem białą chustę zbliżającą się do mojej twarzy. Gdy odzyskałem przytomność leżałem na ulicy, z której uprzednio zostałem zabrany.

– Czy w dalszym ciągu panował mrok?

– Nie, choć całkiem widno również nie było. Światło jednak było na tyle mocne, że z początku mnie oślepiło.

– Więc następnie wstał pan i udał się do redakcji?

– Tak. Reakcji redaktora naczelnego nie zapomnę nigdy. Złapał się za głowę i zrobił tak wielkie oczy, że pierwszy raz zdołałem zobaczyć kolor jego tęczy, gdyż na co dzień jest człowiekiem raczej ospałym i pozbawionym mimiki. Od razu wysłał mnie na policję.

– I tą część już znam. Dobrze, panie Yennenberg, więc podsumowując najważniejsze fakty, został pan uprowadzony z ulicy, gdzie w pomieszczeniu należącym do porywacza został zmuszony do obejrzenia czegoś, co jak zażądał, miałyby być pokazane szerszej publiczności?

– Tak... W skrócie tak to wyglądało... – chłopak zrobił nieco zdziwioną minę.

– Dobrze, dokładne dane zostawił pan wcześniej, więc akta sprawy zostaną sporządzone lada chwila.

– Panie komisarzu – rzekł niepewnym głosem Artur. – Nie widział pan tego filmu, prawda?

– Fakt, wstyd przyznać, chłopcze, ale ze względu na zamieszanie z panującymi remontami i papierologią nie miałem okazji. Dowód jednak jest zabezpieczony i zaręczam, że zostanie poddany analizie w ciągu najbliższej godziny.

Chłopak przełknął ślinę, po czym zerknął na upiorny zegar. Wskazywał on godzinę dwunastą dwanaście.

– Godziny, mówi pan... Ale...

– Spokojnie, zapewniam, że wszystko jest pod kontrolą. Jest pan jeszcze w szoku, i obecnie najważniejsze jest, aby zajęli się panem lekarze. A teraz, jeśli pan pozwoli, muszę wykonać parę telefonów.

Artur Yennenberg niepewnymi ruchami podniósł się z krzesła. Stał przez chwilę niczym uczeń na forum nowej klasy, a Johan wpatrywał się w niego z poczciwym uśmiechem

i uprzejmym gestem wskazywał drzwi. Chłopak wyszedł, a zanim całkiem opuścił pokój przesłuchań, raz jeszcze spojrzął na zegar.

Hodorowski w tym czasie sięgnął do kieszeni marynarki, z której wyciągnął paczkę papierosów. Z kieszeni spodni natomiast wydobyl telefon.

– Halo? Cześć, Sig, miło cię słyszeć. Słuchaj, mam sensacyjne wieści, które mogą cię zainteresować. Jezu, daj spokój z tymi dziećmi, jesteśmy na to za starzy! Ten, powinniśmy się spotkać, bo wszystko wskazuje na to, że mam kolejne dowody na naszego Porywacza. Tak, młody chłopak, Artur Yennenberg, dziennikarzyna z Votum, zaginął i odnalazł się dzisiejszego ranka, ale szczegóły, pozwól, że przekażę na miejscu. No jasne, może być. A żeby było ciekawiej tym razem mam jeszcze film! Nie, nie oglądałem go jeszcze, jak chłopaki ogarną się z moim biurem, wtedy go obejrzę. No, może i tak, ale wiesz, jakoś mi nie spieszo do widoku onanizującego się psychopaty. Cóż, pewny nie jestem, ale nie spodziewam się niczego zaskakującego.

Aromat prostej, lecz niezwykle smacznej potrawy jaką był karczek pieczony w kapuście z ananasami wypełnił każdy kąt domu państwa Schuttenbach. Gościli oni akurat Sigismunda Massa, detektywa i serdecznego przyjaciela głowy rodziny, Arena, pomagającego policji w rozwiązaniu sprawy tak zwanego Porywacza z Bressou. Nikt jednak nie rozmawiał o tak ponurych rzeczach; państwo Schuttenbach z dziećmi oraz detektyw siedzieli przy stole, wspólnie celebrując często odkładane spotkanie.

– A, wujku – powiedziała do Sigismunda Zois, urocza dziewięciolatka o pięknych oczach i, według wychowawczyni, nieco zbyt bujnej wyobraźni – słyszałeś może legendę o Pustym Domu?

– Daj spokój – rzekł Aren. – Wujek Sig jest za stary, aby słuchać historyjek o duchach.

– Pustym Domu? – odparł z uśmiechem Mass, ignorując uwagę przyjaciela. – Co to takiego?

– Koleżanka z klasy powiedziała mi, że za miastem, na polu obok działek, znajduje się dom, w którym świecą się światła.

– Rozumiem. I co z nimi nie tak?

– Tam nikt nie mieszka! – dziewczynka wykonała śmieszny ruch obiema rękami. – W domu, w którym od dawien dawna nikogo nie ma, co jakiś czas robi się jasno! Podobno też słysząc odgłosy odkurzenia i w ogóle czyjejś obecności!

– Ach tak. I nie znalazł się nikt odważny, który by zechciał zbadać wnętrze tego domu?

– No, tata tej koleżanki był bardzo blisko, bo przejeżdżał jakoś obok, ale nie wchodził do środka, bo...

– Zo, wystarczy – powiedziała Eve, żona Arena. – Już wystraszyłaś wujka, a swojego brata to na pewno.

– Ale to nie jest straszne, to bardzo ciekawe! Podobno...

– Zo!

Dziewczynka spochmurniała. Zanim na dobre porzuciła temat, kiwnęła w stronę detektywa parę razy głową, dając tym samym znak, iż jej słowa to prawda.

– Karczku? – spytał nieoczekiwanie Aren.

– Nie, dziękuję. Ale, Eve, powiem raz jeszcze, to danie jest absolutnie niesamowite. Czy mogę poprosić cię o przepis?

– Stary – wtrącił się policjant – ostrzegam tylko, że w mikrofalówce tego nie zrobisz.

Głos Eve z trudem przedostawał się spomiędzy śmiechów.

– Tak, przepis jest bardzo prosty. Ale... Faktycznie będziesz potrzebował do tego prawdziwej kuchni, no wiesz...

Aren nieomal się popłakał.

– Nie wiem co naopowiadał ci o mnie twój mąż, ale to zdecydowanie nieprawda.

– Och, czyli nie jesteś kwintesencją męskości i marzeniem każdej kobiety? Cóż, kochanie, sama słyszałaś.

Eve, choć sama serdecznie się śmiała, szturchnęła Arena aby ten się opamiętał i zachowywał przy dzieciach nieco powściągliwiej. One jednak również się śmiały, choć raczej z czego innego niż dorośli.

Nagle, spomiędzy powstałego szumu przebił się dźwięk telefonu. Detektyw Mass, zorientowawszy się, że to jego komórka, przeprosił na chwilę towarzystwo i udał się na stronę, aby spokojnie odebrać. Gdy wrócił, nieco zwieszonym głosem rzekł:

– Wybaczcie, ale wygląda na to, że muszę już iść. Obowiązki wzywają. Mam nadzieję, że w niedługim czasie spotkamy się znowu.

– No trudno – rzekł Aren. – Ale fakt, kolejnego spotkania możesz być pewien. Chodź, odprowadzę cię.

– Dzieci – powiedziała Eve – pożegnajcie się z wujkiem. To do zobaczenia, cieszę się, że smakował ci obiad.

Gdy detektyw Mass stał przy drzwiach wyjściowych, założywszy płaszcz rzekł do stojącego obok przyjaciela:

– Dzwonił Johan, podobno mają coś w sprawie Porywacza.

– Tak też myślałem – rzekł policjant. – W takim razie ja również będę spodziewał się telefonu.

Zanim rozbrzmiało ostatnie słowo pożegnania, Mass niepewnie, jakby się wstydząc, zapytał:

– Aren, może głupio to zabrzmie, ale jeśli chodzi o historię opowiedzianą przez Zois...

– Spokojnie – odparł natychmiast policjant. – Chłopaki z oddziału już się tym zajmują.

Zielarnia należała do tego rodzaju knajp, w których to stolik znaleźć można było zawsze. Nieważne czy odbywał się tam wieczorek poetycki, koncert jakiegoś lokalnego zespołu czy też wernisaż undergroundowej artystki – bo takie wydarzenia miały tam miejsce – stolik zawsze był i czekał na nowoprzybyłych. Właściciele zatem albo mieli w piwnicy istny skład mebli trzymany na sytuacje awaryjne, albo doprawdy byli geniuszami logistyki.

Tak czy inaczej, tym razem nie musieli się martwić o organizowanie wolnych miejsc, gdyż w przybytku gościły trzy osoby.

Mass siedział w kącie, popijając czarną kawę w oczekiwaniu na komisarza Hodorowskiego. Przed sobą otwarty miał notes, swój atrybut właściwy dla niego niczym wąsy i okulary, i w zamyśleniu analizował zapisane w nim rewelacje. Owymi rewelacjami była króciutka lista, która jednak powiększona o jeden zapis, nie dawała detektywowi spokoju. Wyglądała ona w ten sposób:

Barry Wolski – nauczyciel

Ernie Devois – tłumacz

Amanda Bachartyk – nauczycielka: odnaleziona

Terry Kosik – bankier

A na dole dopisane innym długopisem:

Artur Yennenberg – dziennikarz: odnaleziony

Ową listę detektyw analizował pod wieloma kątami, jednak nie mógł znaleźć niczego, co by nią powodowało. Oczywiście, od dłuższego czasu zabiegał o rozmowę z Amandą Bachartyk – jedyną osobą stanowiącą powód dlaczego Porywca z Bressou ochrzczono mianem porywacza, a nie mordercy, jednak ta znajdowała się pod stałym dozorem lekarzy, toteż kontaktu nie było z nią żadnego, a przynajmniej póki co. Detektyw zaś wierzył, iż rozmowa z nią rzuci światło na cień poczynił przestępcy. Musiało przecież istnieć coś, co spowodowało jej uwolnienie.

Tym bardziej też interesował go Artur Yennenberg. Młody chłopak, jak dowiedział się w ciągu kilkusekundowej rozmowy z komisarzem Hodorowskim, pracujący jako dziennikarz, porwany i wypuszczony tego samego dnia. To ostatnie szczególnie go frapowało, przez co zastanawiał się, czy to na pewno czyn Porywacza z Bressou. Poza tym, nazwisko dziennikarza w jakiś niewytłumaczalny sposób nie pasowało do listy, a jednocześnie czyniło ją kompletną. Mass jednak nie roztrząsał tej myśli; zanotował swoje wątpliwości, lecz postanowił nie analizować racjonalnie czegoś, co jest abstrakcyjnym przeczuciem. Miał szczerą nadzieję, że rozmowa z Johanem jak i obejrzenie filmu pomogą mu w lepszym uchwyceniu oraz nazwaniu tej kwestii.

Gdy akurat wypisywał podobieństwa między wszystkimi zawodami, zadzwonił jego telefon. Przekonany, że był to Johan, odebrał z uśmiechem.

– Niech zgadnę: dziesięć minut czy czterdzieści?

Faktycznie, dzwonił komisarz Hodorowski, który jednak nie zamierzał zakomunikować spóźnienia.

– Sig – rozległo się w słuchawce – natychmiast przyjeźdź na komendę. Mamy cholernie wielki problem.